

## *Oddział zamknięty na klucz do kozackiej miłości*

Klinika Wydziału Medycznego w Nancy w roku 2467 należała do profesora Zygmunta Freuda, który był tu naczelnym neurologiem, specjalistą od pomagania osobom, które w negatywnym odbiorze rzeczywistości posuwały się tak daleko jak Batylda de Chasteller.

Bywając na środach pani de Chasteller, doktor Freud traktował ją w tajemnicy jak pacjentkę, ale oficjalnie dziękował jej za współpracę, kiedy zapraszała jego pacjentów w ramach przepisanej im przez niego terapii.

Zdarzało mu się zagalopować i niejedną raz pani de Chasteller słyszała od niego, że jego ponura twarz promienieje od uśmiechu, ilekroć styka się on z osobowością jej pokroju. Na szczęście, zanim pani de Chasteller pokazywała mu drzwi, profesor Freud przypominał sobie, że to nie Judyta Kozłowska, wróżąca małżeństwo z każdego otrzymanego „kocham cię”, na skutek czego wylądowała na Oddziale Leczenia Realnych i Wydumanych Nerwic usytuowanym na terenie Kliniki.

Gdyby nie smutne oczy pani de Chasteller, każące rozmyślać o drugim dnie wszystkiego, profesor Freud porzuciłby Nancy, by osiąść w Warszawie, w najnowocześniejszym drapaczu chmur, siedzibie Międzynarodowego Towarzystwa Psychologicznego.

Nancy miało jeszcze i tę dobrą stronę, że nie trzeba było obawiać się wind ani schodów wiodących na 50 piętro.

Klaustrofobię profesor Freud dzielił ze swoim bratem bliźniakiem, wychowanym w rodzinie Poirotów, którzy sfinansowali jego studia prawnicze. Rodzice Zygmunta i Herkulesa mogli sobie pozwolić tylko na jedno dziecko o wysokim czole, znamionującym niepowседневną inteligencję. Herkules Poirot za każdym razem, gdy myślał o naturalnych rodzicach, ocierał pot z czoła, jeszcze zanim rozpoczął żmudną wspinaczkę po schodach.

Zygmunt Freud zapraszał go co jakiś czas na środę do Nancy, uważając go za jeden z patologicznych przypadków, ale Herkules Poirot nie znajdował dla niego czasu: za bardzo zaprzętała go wciąż sprawa Agnieszki Woźniak-Starak, będąca na ustach całej Warszawy.

Zygmunt mógł być teraz w Paryżu i albo namawiać Lucjana Leuwena do powrotu do Nancy, albo asystować koledze po fachu – profesorowi Jeanowi Charcotowi podczas uwalniania od hysterii pacjentek w rodzaju Ani Shirley, która rozciągnięta na kozetce dostawała słowotoku, bo wedle jej własnych słów nie byłaby w stanie skryć tych wszystkich rozważań w swej jedwabnej duszy. Na jej stan psychiczny najpozytywniej wpływał Andrzej Kmicic, może dlatego, że miał w głowie tylko machanie szabelką jak cepem, a może dlatego, że bywał rzadko delegowany do Paryża.

Kmicic przez swoją popędliwość oraz nagminne spóźnianie się nie potrafił zagrażać miejsca w żadnej pracy. Miał też denerwujący zwyczaj meldowania swej obecności w klinice, gdzie był zatrudniony jako sanitariusz, zawsze tymi samymi słowami,

a mianowicie „jam jest Andrzej Kmicic”, na co profesor Freud nieodmiennie odpowiadał: „ale dlaczego tak późno?”.

Przełożona pielęgniarek, Scarlett O’Hara, patrzyła z dezaprobatą na wysoki Kmicica, choć sama znana była z powiedzonka „pomyślę o tym jutro”, co czyniło ją okazem zdrowia na tle tych wszystkich neurotyków, ale nie przyczyniało jej adoratorów. – Nigdy nie należałam do żadnego mężczyzny – chwaliła się Scarlett Freudowi – a jednak świat należy do mnie i biorę go garściami. A ilekroć ktoś składa mi propozycje mogące zakłócić mój spokój, zamykam oczy – nie chcę tego widzieć... Jak trzeba, robię zastrzyk na uspokojenie i powoli wycofuję się z gabinetu. Profesor Freud słuchał podobnych zwierzeń jednym uchem, myślał bowiem o pani de Chasteller, która zaczęła ostatnio znaczyć w jego życiu więcej niż pani Dalloway, która tak lubiła spoglądać na kwiaty, że cierpiało na tym jej przyglądanie się ludziom na ulicach Londynu. Na ulicy de la Pompe w Nancy ludzi było mało poza tymi, którzy bywali w środy w salonie pani de Chasteller, więc pani Dalloway nie musiała robić sobie wyrzutów, że coś zaniedbuje.

Którejś środy profesor Freud wybrał się do pani de Chasteller z bukietem, którym chętnie zawładnęłyby pani Dalloway, nieświadoma, że takie gesty ze strony lekarzy w stosunku do pacjentek są zgodnie i powszechnie potępiane.

W salonie nie było w tym momencie nikogo poza panią de Chasteller, piszącą list na rozkładanym pulpicie, i panią Dalloway nastawioną wyraźnie na odbiór męskiego zainteresowania. List był do Lucjana Leuwena, a że Battylda surowo zabroniła sobie w nim wszelkich wyznań, donosiła jedynie, że Herkules Poirot i Zygmunt Freud nie są już pierwszej młodości, ale umysł każdego z nich jest wciąż bardzo sprawny.

Profesor Freud rzucił wówczas niedbale kwiaty na kanapę i żeby odwrócić od nich uwagę Clarissy Dalloway, zwrócił się do niej tymi słowami: – Szkoda, że nie lubi pani surowego mięsa, tak pięknie strojącego Lady Gagę. – Po czym patrzył z satysfakcją, jak Clarissa ucieka do toalety, żeby zdążyć przed potężną falą mdłości.

W środy bywali u Battyldy tylko pacjenci Oddziału Realnych i Wydumanych Nerwic, wyselekcjonowani przez profesora Freuda dla potrzeb uzdrawiającej ich terapii.

Stałą bywalczynią tak pomyślanych przyjęć u Battyldy była Buba, która miała to do siebie, że stosunkowo najlepiej czuła się wtedy, kiedy życie jej dokopywało.

Profesor Freud zmobilizował do przychodzenia na przyjęcia także Olgę Rogożyne, której nerwy były w rozsypce z racji zachłyśnięcia się kozacką miłością.

Wciągnął również na swoją listę neurotycznego do bólu Holdena Caulfielda, który za często zaglądał w głąb siebie i mówił o tym przy każdej okazji, chociaż był przekonany, że lepiej nic nikomu nie opowiadać, bo można tylko zacząć tęsknić.

Inna pacjentka, Antonina Tańska, która po raz kolejny zdobyła się na odwagę, by podążyć nieznaną ścieżką, zawdzięczała to Marysi Sotnik, która z ulgą przyjęła do wiadomości przekonanie doktora Freuda, że tam, gdzie dawniej był grzech, dzisiaj jest tylko choroba.

Marysia wierzyła, że królestwo niebieskie bez Stiopuszki to miejsce nie do odróżnienia od piekła, a Justyna Orzelska nie przykładała do tego wagi, bo miała inne marzenia, którym oddawała się tylko podczas długich spacerów, koniecznie po lesie, odbywanych bez nadzoru ze strony prowadzącego psychoterapeuty.

– Jedni wolą naturę, a drudzy kulturę – konstatawał profesor Freud, mając na myśli Małego Księcia, cierpiącego na chorobę dwubiegunową. W fazie euforii Mały Książę zwykł podrygiwać w rytm muzyki reggae, unikając wtedy wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym poza środami u Batyldy, kiedy powtarzał do znudzenia: czuję, że przede mną czai się niewiarygodna przygoda, której sam Marek Piegus by się nie powstydział. Większość pacjentów uśmiechała się wtedy z politowaniem, a Buba to już najszerzej, bo czym ona będzie, ta przygoda w porównaniu z przygodą, na którą porwała się Oksana, odstępując Oldze wspaniałomyślnie prawa do Fiodora.

Obok pani Dalloway, zwykle milczącej, siadała Alona Skorniakowa, która znalazła pociechę w utożsamianiu się z Izoldą, Stiopuszkę Gruszyna obsadzając w roli Tristana. Alona wierzyła w sny prorocze, sny – ostrzeżenia, tylko Oldze powiedziała, że nie, bo to było częścią kłamstwa, mającego Oldze oszczędzić cierpienia.

Grono pacjentów na przyjęciach u Batyldy zasilał regularnie Marcin Ciamciara, zawsze w dobrym humorze od rana, ponieważ w towarzystwie Batyldy wciąż na nowo upatrywał szansy na przeżycie czegoś niepowtarzalnego.

Przeważnie razem z Ciamciarą zjawiał się James Howlett aka Logan aka Wolverine, który choćby obudził się w wyjątkowo paskudnym (nawet jak na niego) humorze, umiał się powstrzymać przed mówieniem złośliwości pod adresem Judyty. Darowywał to sobie, marząc, że kiedyś na pewno ją zabije, jak nie sam, to przy pomocy Marysi Sotnikówny.

Co innego Buba; ta kochała Jamesa przez chwilę z wzajemnością, więc ograniczał się do rzucania jej nienawistnych spojrzeń, nie posiadając się jednak ze złości, że odnosi to skutek przeciwny do zamierzonego.

Profesor Freud leczył Bubę z masochizmu, gdyż się obawiał, że prędzej czy później dopadnie ją depresja zagrażająca życiu.

Póki co Buba pisała wiersze: „Nigdy, James, nie zrozumiesz, ile mnie kosztowało, żeby cię wypuścić. Dlatego, James, proszę, nie wracaj, bo nie mam już na to sił”.

Profesor Freud zbierał materiały do swojej książki o teorii marzeń sennych, dlatego razu pewnego ucieszył się, gdy sen Jamesa Howletta i Marcina Ciamciary okazał się jednym i tym samym snem.

– To niesamowite – notował profesor Freud swoje spostrzeżenia. – Nie mam pojęcia, o jakie przeżycia tutaj chodzi, kiedy Howlett i Ciamciara relacjonują mi ten sam sen, tej samej nocy, tymi samymi słowami. – Śniło mi się – opowiadał najpierw Ciamciara, a potem Howlett – jak Olga przymyka czarne oczy, pragnąc zasnąć, by śnić o Nikołce.